

## Jan Skoumal: (Nie)śląski byzantion Jana Michalskiego

Obcowanie z tym pejzażem skłania czytelnika do zwrócenia się do wnętrza siebie, do zapalenia światła w niepielegnowanych od dawna zakamarkach pamięci, czy może – jak, co muszę przyznać, miało to miejsce w moim przypadku – uśmiechnięcia się do wciąż rozbudowywanego, duchowego archiwum – pisze Jan Skoumal o książce Jana Michalskiego „Duchy opiekuńcze i przygodne” w „Teologii Politycznej co Tydzień”.

„Świadomość jest niczym więcej jak rozwarciem migawki” – w martwym aparacie, ożywianym czułymi palcami dawno niewidzianych rąk. Migawkę swojej duszy – początkowo mrugającą szybkimi refleksami, szeroko rozwartą wobec strumienia opowiadań, niepewnie zanurzoną w zagadkowych pseudomorfozach – otwierają przed nami opiekuńcze i przygodne duchy Jana Michalskiego. Prowadzą nas za rękę przez minione światy, które przybrawszy miano Śląska wysyłają nam na spotkanie ludzi i przedmioty, zapachy i smaki, huk pracy na grubie i szmer przeplatanej z niemczyzną gwary. Jaki jest jednak klucz do zrozumienia światów Michalskiego, światów, które muszą być dawnym Śląskiem, a jednocześnie mogą być od niego w zupełności oderwane, zawieszane w pachnącym dzieciństwem *byzantionie*?

## **Przeczytaj: „Duchy opiekuńcze i przygodne” – opowiadania Jana Michalskiego**

Zawarte w zbiorze „Duchy opiekuńcze i przygodne” opowiadanie „Mała ciotka” czytałem trzy razy. Pierwszy raz, otrzymawszy recenzencki plik z książką, za radą samego autora zacząłem lekturę od tego opowiadania. Drugi raz, już na papierowym egzemplarzu z autografem, zrozumiawszy, że opowieść zyskuje „swoją właściwy wymiar” wraz z jej powtórzeniem – tak jak zyskiwały go anegdoty ojca o pracy na kopalni, których echem dzieli się z nami autor. Po raz trzeci po „Małą ciotkę”, sięgnąłem pisząc ten tekst – by jeszcze raz spojrzeć od frontu, jak stwierdził pisarz, na roztaczający się przed czytelnikiem moralny horyzont całego zbioru opowiadań. Na niewinność chrzczonego dziecka, na mroki domowego ogniska – opresyjność męża alkoholika i bezradność matki, niejasno pożądaną przez młodego bohatera – i wreszcie: na dobroć staruszki, owej małej ciotki, przygarniającej sierotę z gruźliczego domu, przygarbionej pod ciężarem życia, które ją przeżyło. Otwiera ona korowód ciotek-przewodniczek, tych postaci, o których pamięć wprowadza nas w świątynię prozy Jana Michalskiego. To ciotka przesyła tak wyczekiwane paczki zza granicy i u drzwi rodzinnego domu wypłakuje („Kobieta osiemdziesięcioletnia!”) swe zapadające w pamięć, piękne oczy. To ciotka prosi na chrzestnego, to na ciotkę wpadamy w tramwaju lub gdy przyleci z Australii, to ciotka ucieka od zrozpaczonego męża, by pracować na taksówce i to na ciotki pogrzebie nasza pamięć o niej znaczy więcej, niż pompatyczne mowy nad trumną. To ciotka roztacza wokół siebie aurę minionych lat, spogląda na nas zielonymi oczyma kredensu i gotowym pęknąć w chwili jej śmierci cyferblatem; to ona pozwala nam sięgnąć po blaszane, pachnące cynamonem puszki, budować z nich – niczym z cegieł – nasz jedyny, niepowtarzalny *byzantion*.

„Każdy z nas ma swój *byzantion*, ale nie każdy o tym pamięta”.

Wewnętrzna świątynia, święte archiwum pamięci i ludzkich dusz, będące wieczną rozmową z owymi opiekuńczymi duchami oraz z samym Bogiem. Tym właśnie jest ów *byzantion*, katedra naszej pamięci ociekająca ciepłym złotem uczuć i szmerem modlitwy do minionych czasów, nieczuła na przemijanie przedmiotów: na pękające cyferblaty, rozkręcane na części zabytkowe radia, gubione pachnące puszki, porzucane kredensy z szybami o kolorze oczu zmarłych ciotek. „Nie, nigdy nie będzie kochał przedmiotów”. Jan Michalski przestrzega nas przed nadmiernym umiłowaniem do rzeczy, do – choćby i cennych – pamiątek, ostrzega przed ich przemijalnością, obcą *byzantionowi* naszych dusz, niewidzialnemu i niezniszczalnemu światowi idei, któremu nie zagrozi nawet ludzka niepamięć. „Nie można go zamienić. Wiedz, że istnieje tylko jeden egzemplarz. Twój egzemplarz”. Droga do niego jest zaś jednokierunkowa: przedmioty współtworzą *byzantion*, ale pamięć o nich nie może więzić nas w chorobliwym pragnieniu otaczania się materialnymi pamiątkami. Podobnie rzecz ma się z ludźmi, zamieszkującymi naszą wewnętrzną świątynię: cicha modlitwa do pamięci o nich, przelanie jej na papier i odczytanie gotowym złamać się głosem na spotkaniu autorskim – wszystko to dać może ukojenie, w przeciwieństwie do rozpaczliwego zatracania się w relacji z tymi, którzy odeszli. Pograżanie się w przeszłości równa się bowiem porzucaniu żyjących bliskich – co jednak, pyta ciotka Marie, gdy wszyscy oni już nie żyją?

„Duchy opiekuńcze i przygodne” są opowieścią na pierwszy rzut oka dogłębnie śląską. Zasłuchani w potok komend telefonistek na centrali poszukujemy w nich trzeciego – po „grubie” i „Kleofasie” – tajemniczego imienia kopalni. Przechadzając się wśród familoków i cmentarnych nagrobków wsłuchujemy się w niemiecką mowę i

wczytujemy w dźwięczne nazwiska na kamiennych płytach. Śląska gwara, w której tante rychtuje obiad, synek niesie kartofle na gruba, a jego kolega durś chowa pożyczoną książkę w ruzaku, owija się nam wokół uszu niczym ciasto na kluski śląskie, przyjemna i przechodząca w polszczyznę lub dźwięczne „klingeling”. Łatwo nam wówczas nie dostrzec, że proza Jana Michalskiego nie opowiada wyłącznie o owej krainie zmieniających się języków i nazw ulic, nad którą wisały kolejno czarne, dwugłowe i białe orły, okopcone kopalnianą sadzą. Oczywiście, zaryzykować możemy tezę, że taki właśnie jest osobisty *byzantion* autora – to jednak tylko część tej (nie)śląskiej baśni. Śląsk jest tu krajobrazem, tylko zrzędzeniem losu będącym krajobrazem akurat śląskim, dla owych światła i zaklęć, dla życia, będącego rozmową ze Stwórcą.

### **Przeczytaj relację ze spotkania autorskiego z Janem Michalskim w Warszawie**

„Pejzaż jest pismem, a człowiek literą”. Zarówno ciągła obecność postaci ojca, jak i lakoniczne wspomnienie o jakimś panu Cwołku ze zdjęcia, nabierają pod piórem Jana Michalskiego wyjątkowego kształtu – ludzkich liter, zapisanych na pejzażu, niosących przekaz z wnętrza jedyne go egzemplarza jego *byzantionu*. Obcowanie z tym pejzażem skłania czytelnika do zwrócenia się do wnętrza siebie, do zapalenia światła w niepielegnowanych od dawna zakamarkach pamięci, czy może – jak, co muszę przyznać, miało to miejsce w moim przypadku – uśmiechnięcia się do wciąż rozbudowywanego, duchowego archiwum. Nie chodzi tu nawet o bezpośrednie paralele, takie jak pojawiający się w jednym z opowiadań, otoczony przez żonę i córki dziadek Marulla – niczym mój przodek, również będący sztygarem, którego córki po wyjściu za mąż rozproszyły się po Śląsku. Pamięć o owym polskim nestorze Skoumalów pielęgnuję, przeglądając fotografie i czytając jego

listy do (jedynego) syna. Czym innym jest jednak śledzenie obcej nam przeszłości, wodząc palcem po chwiejnych literach listów i czarno-białych sylwetkach, a czym innym – zapuszczanie się do najdalszych głębi pamięci. Obie te praktyki mogą jednak, co dane mi było odczuć, prowadzić do drastycznej przebudowy naszego wewnętrznego byzantionu – ze świątyni w więzienie. W takich chwilach zagubiony człowiek czuje, że „to, co zapisane w pamięci, wydaje się bardziej realne od chwili bieżącej”, a zmarli stają się dla niego żywsi od otaczających go żywych ludzi. Lektura opowiadań Jana Michalskiego – gotowego wskazać granicę między złudną czcią przedmiotów a zdrową modlitwą w okadzanych kadzidłami murach *byzantionu*, o czym mieliśmy okazję porozmawiać po spotkaniu autorskim – może zaś ułatwić powrót na właściwe tory. Jego proza, słowami inżyniera z huty szkła występującego w jednym z opowiadań, mówi nam bowiem: „Idź swoją drogą. Nie daj się zwieść. Pracuj i szukaj znaków”.

*Jan Skoumal*

*fot. Jan Michalski*